ŚWIATŁO

Rok VII. Bytom G.-Sz., 15. Marca 1893. Nr. 6.

„ŚWIATŁO“ wychodzi dwa razy na miesiąc, co 1-go i 15-go każdego miesiąca. — Przedpłata kwartalna wynosi **1 markę** = 75 cent. Zeszyt pojedyńczy kosztuje 18 fen. = 13 centów. — Abonować można na każdej poczcie, (Zeitungs-Preisliste Nr. 81) w każdej księgarni, u agentów i z Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu na Górnym Szlązku (Beuthen O.-S.) — **Ogłoszenia** przyjmują się za opłatą 20 fen. od **3**-łamowego wiersza drobnym drukiem.

Herb rodziny Peccich.

(Ciąg dalszy.)

Ale była to już za długa próba dla jej cierpliwości. Zeskoczyła szybko z postumentu, a ująwszy Jaca za rękę, zapytała:

— Nieprawdaż, że dobrze wyglądałam, przyznaj sam, że o wiele lepiej od tej nienaturalnie idealnej dziewczyny, którą na każdym obrazku przedstawiasz? Przypatrzże mi się uważnie i przyrzeknij, że od jutra rozpoczniesz swe dzieło i mnie weźmiesz za wzór, — dodała przymilając się do niego.

Na wspomnienie o idealnej dziewczce, zasępiła się twarz Jaca, a wiedząc, że słowami nie przekona upartej dziewczyny, rzucił jej tylko w roztargnieniu życzenie dobrej nocy i szybko się oddalił.

Od następnego dnia, staranniej jeszcze niż pierwej, zamykał swoją pracownię i przebywał w niej po całych dniach, nie przychodząc nawet jak dawniej, do wspólnego stołu.

Helena była nad wyraz szczęśliwą, mając to przekonanie, że owego wieczora złamała upór artysty i dopięła celu.

Nadszedł wreszcie dzień rozstrzygający. Jakóbowi miał on przynieść palmę zwycięstwa, a Helenie bolesne rozczarowanie. Wybór odbył się z wielką uroczystością wobec licznie zgromadzonych widzów i padł jednogłośnie na dzieło Jakóba, bo też rzeczywiście postać tej dziewiczej męczenniczki, o rysach Lilii della Rocca, wartą była pierwszeństwa i nagrody.

Gdy ją umieszczono w przeznaczonem na to miejscu w kaplicy, wszyscy obecni, przejęci rzewnem uczuciem uklękli, wpatrując się w to dzieło młodego mistrza. Helena klęczała także obok innych, ale odmiennem miotana wrażeniem. Zacisnąwszy pięści, z gniewem w sercu patrzała na to uosobienie obcej dziewczyny, instyktownie przeczuwając w niej swoją rywalkę. Oczy jej sypały błyskawice, a zaciśnięte usta szeptały groźne słowa:

— Ha, więc zwyciężyłaś, ale strzeż się i rozstaw szeroko swe sieci, aby ci nie umknął, bo ja czuwam nad wami i zemścić się potrafię!

Tymczasem już i zmrok zapadł, a wesoła zabawa na cześć kolegi-zwycięzcy trwała jeszcze, srebrny księżyc oświecił twarze rozbawionych biesiadników.

Na pierwszem miejscu widzimy Jakóba, a naprzeciw niego grono pięknych pań, z pośród których Helena, najpóźniej ze wszystkich na bal zdążyła. Bledsza trochę niż zwykle, ale snać już o swem zmartwieniu zapomnieć musiała, bo znów była śmiejąca, żartobliwa i zalotna jak zawsze.

Jaco uśmiechał się, ale widocznie roztargniony, nie wiedział nawet o czem mówią. Myślał bowiem o liściku, który dostał z Alagna i o słowach serdecznych w nim zawartych, a skreślonych rączką Lilii:

— Wczoraj powrócił Antonio Pecci do nas — pisała — i już na zawsze w Carpinetto pozostanie, a gdy za pół roku do nas przyjedziesz, wówczas znów jak dawniej razem będziemy. Czy powrócisz Jaco?

Ach, czyż potrzebowała pytać go o to, wszak jego serce wciąż go do powrotu nagliło!...

Nagle, około północy, posłaniec przybiegł spiesznie do namiotu i przyniósł biesiadnikom wieść jakąś, a dziwną być ona musiała, kiedy z początku z ust do ust ją sobie tylko trwożnie podawano, jakby nie śmiejąc głośno wymienić; wreszcie dowiedziano się powszechnie, że bezbożna czyjaś ręka rozbiła na drobne kawałki, uwieńczone dzieło młodego mistrza, niwecząc tem samem nieśmiertelną jego sławę.

Jaco przerażony tą nowiną, zbladł strasznie i spojrzał na Helenę, która także drżąca i blada, wpatrzyła się w biednego młodzieńca, a po chwili zawołała go do siebie. Jaco, sądząc że chce go w smutku pocieszyć, zbliżył się do niej, jednak spojrzawszy bystro w jej oczy, cofnął się szybko, i ze wzgardą zawołał:

— Tyś mi to zrobiła, tyś posąg zniszczyła ty.... — więcej mówić nie mógł, głos zamarł mu w piersi.

Helena położyła mu rękę na ramieniu.

— Jaco — szeptała — uspokój się, tyś taki utalentowany, więc z łatwością ci przyjdzie drugi jeszcze ładniejszy utworzyć posąg, ale wówczas już inny sobie wzór obierzesz, — dodała wdzięcząc się.

Ale on nieprzytomny prawie, odtrącił ją od siebie.

— Przenigdy! — zawołał — podług innego wzoru mam tworzyć, a więc może podług ciebie? Ach nędznico!

Wówczas Helena zaśmiała się szyderczo:

— Tak — zawołała — otóż wiedz szaleńcze, że ja ją strąciłam, gdyż nie mogłam znieść jej twarzy o pobożnym wyrazie, nie mogłam znieść jej!...

Nie dokończyłą, gdyż Jaco z bolesnym krzykiem runął jak martwy na ziemię.

IV.

Tymczasem upłynęło już owe pół roku, dzielące Jakóba od upragnionej chwili powrotu do gór ojczystych.

Od owej pamiętnej dla niego chwili pobyt w Rzymie, a szczególniej w domu mistrza Reala, stał mu się nieznośnym, zwłaszcza, że już od dawna nie miał wiadomości z domu. Nie mogąc się więc dłużej oprzeć tęsknocie, wzrastającej z dniem każdym, puścił się w drogę ku rodzinnym stronom. Roskoszna wiosna przystroiła świat w nową szatę; niezliczona mnogość fiołków i pierwiosnków wdzięczyła się w trawie, zdając się witać powracającego. W powietrzu czuć było balsamiczną woń kwiatów wiosennych, niebo było jasne i pogodne, a słońce odbijało się w każdej kropelce rosy, przemieniając je w brylanty.

Młody podróżny szedł szybko i dziwnie błogo było mu na duszy; nie pamiętał już owych trzech lat pełnych walk, przeciwności i wrażeń rozmaitych i czuł się jak dawniej wesołym i swobodnym jak dziecię.

Idąc też za dziecinnym popędem serca, pierwsze swe kroki skierował do domku Bożego, który wysokiemi otoczony drzewami, wznosił się na jednym ze skalistych pagórków. Zdziwił się nie-

mało, ujrzawszy kościółek, mimo dnia powszedniego, pięknie przystrojony. Mężczyźni i kobiety, w odświętych ubiorach, zapełnili szczelnie ławki i klęczniki, mimo iż żadne nie odprawiało się nabożeństwo, snać nie na modlitwę zgromadzili się tym razem.

Wszedłszy do kościółka, ukląkł na uboczu, a ukrywszy twarz w dłonie, zatopił się w gorącej modlitwie, nie zważając wcale, na coraz głośniejszy gwar wkoło siebie.

Wreszcie zbudzony donośnym głosem kapłana, podniósł oczy. O Nieba! potoż się tak spieszył i tęsknił do kraju, aby być świadkiem tej sceny bolesnej!

U stóp ołtarza, ujrzał parę nowożeńców, składającą wobec miejscowego proboszcza, przysięgę dozgonnej miłości. Złotowłosa dziewica w białym stroju, z wiankiem na głowie i piękny młodzieniec, smukłej postaci, o szlachetnych rysach; — to Lilia Rocca i Antonio Pecci.

Silny dreszcz wstrząsnął nim od stóp do głowy. Jedna ta chwila skruszyła wszystkie jego marzenia, złamała nadzieje. Wprawdzie nieraz w swych snach młodzieńczych, widział Lilię stojącą przed ołtarzem, w ślubnym stroju, z wiankiem dziewiczym na rozplecionych warkoczach, ale ów szczęśliwy, który miał stać obok niej, gotowy wobec Boga i świata całego, przysiądz jej wierność, miłość i opiekę aż do śmierci, ten nigdy podobnym nie był do Antonia Pecci. Nie, siebie samego raczej widział zawsze na jego miejscu, trzymającego rączkę Lilii w swych dłoniach.

Błogie to wspomnienie, potęgowało jeszcze straszną jego boleść.

Z ciężkiem westchnieniem znów ukrył twarz w dłonie i nie podniósł się aż wtedy, gdy cisza głęboka zaległa świątynię, oznajmując mu, że tłum ciekawych rozszedł się, i zostawił go samego z własnemi myślami . . . .

Podczas wesołej uczty weselnej, Lilia Pecci napomknęło swemu młodemu oblubieńcowi, iż jej bardzo przykro, że ich wspólny przyjaciel, Jaco Deli, nie przyszedł swą obecnością uprzyjemnić im dnia dzisiejszego.

— Na żaden z moich listów nie odpisał — mówiła rozżalona — od św. Jana nie mam już od niego żadnej wiadomości, a wuj jego, także nie umiał mi nic o nim powiedzieć. — Antonio pocieszał ją łagodnemi słowy:

— Kto wie — mówił — co się z nim dzieje, może miłość i szczęście podobne naszemu, przykuło go już do stron innych.

W tej samej chwili, ten, którego o obojętność posądzali, ze złamanem sercem i zniszczoną nadzieją, niepoznany przez nikogo, szedł w świat daleki, nie pragnąc już nigdy w te strony powrócić. (Dokończenie nastąpi.)

O WĘDRÓWCE PTAKÓW.

Pomiędzy rozmaitemi wypadkami, które nam życie zwierząt przedstawia, lot ptaków jest może najwięcej uwagi godnym.

Poniekąd porównać go można z wędrówką ryb. Wędrują także i inne zwierzęta, jak np. myszy i szczury, które nieraz, jak zauważono, bez niedowiedzionej przyczyny gromadnie opuszczają swoje siedziby i w dalekie udają się okolice, z taką zaciekłością, że nawet wody nie kładą tamy ich podróży, tak, że na niewielkie odległości, przepływają je z największą śmiałością.

Wędrówka atoli tych zwierząt, ma coś takiego niepewnego i nieregularnego, że nie może się równać z lotem ptaków.

To samo możnaby powiedzieć o locie wielu gatunków owadów, a szczególniej szarańczy wędrownej i lotnej, która ciągnąc miliardami z miejsca na miejsce, częstokroć w przeciągu dni kilku, w masach nieraz horyzont zaciemniających, słusznie nas w zdumie-

nie wprawia; lub szarańczy pieszej, która na drodze swojej przebywa najbystrzejsze rzeki i strumienie, ale i tego z wędrówką ptaków także porównać nie można i nic z nią nie ma wspólnego.

Aby właściwość, a raczej odrębność w wędrówkach ptaków dobrze osądzić i poznać, należy przedewszystkiem zwrócić uwagę na życie ich.

Każdy ptak ma swoją ojczyznę, to jest miejsce, gdzie się rozmnaża. Tu u nas i w ogóle w środkowej Europie przepędza on, stósownie do okoliczności, dłuższy, lub krótszy przeciąg czasu.

Niektóre gatunki, jak np. kosy złociste i jarzyki, zostają tylko przez 3 miesiące, w którym to czasie budują gniazda, składają jaja, wylęgają je, karmią i pielęgnują młode. Inne, jak skowronki polne i ziemby, opuszczają ojczyznę swoją na krótki tylko czas. Największa część ptaków przelotnych, żyje tylko pół roku w miejscu swego wylęgania, drugą połowę przepędzając w podróży i na miejscu czasowego swego pobytu.

Wiele z nich powraca co rok do ojczyzny, ale jednego roku większa ich liczba, niż drugiego a to z powodu przeszkód, które pokonywać muszą. Do ostatnich należą ptaki drapieżne, piejące, wiele śpiewających, bociany, kaczki i mnóstwo wodnych.

Wiele z nich prowadzi życie koczujące, t. j. zmieniają mieszkanie stósownie do okoliczności i przenoszą je tam, gdzie najwięcej znajdują pożywienia. Do tych należą somy, ziarnojady, zięby, czyżyki, gołębie, niektóre gatunki czapli, żurawie, gęsi, jaskółki morskie i wiele innych.

W ogólności powiedzieć można, że utrzymywanie się ich w jednem miejscu, zależy od ilości pokarmu i tak: jeżeli w okolicy jakiejś wielki był urodzaj pewnego gatunku zboża, w okolicę tę przylata mnóstwo ptaków, żywiących się tem ziarnem. Ztąd też w niektórych latach widzimy w okolicach naszych taki lot ptaków, jakiego w innych niema.

Ale pora zimowa, zmienia także bardzo lot ptaków. I tak, jeżeli zima na północy Europy jest lżejsza jak w środkowej, to wtedy bardzo mała ilość ptactwa ztamtąd do nas przylatuje — i przeciwnie, jeśli jest sroższą, co częściej bywa, to ptaki północne, jak jemiołuchy, gile i inne, przylatują w dużej ilości, sięgając nieraz aż do Szwajcaryi i południowych Niemiec.

Uwagi godnem jest, że wcześnie wędrujące ptaki, zwykle przepowiadają ostrą zimę.

Stan powietrza ma także wielki wpływ na wędrówkę ptaków. Przy wczesnej pięknej wiośnie, widzimy nieraz przylatujące te ptaki, których przylot jest daleko późniejszy, zato w czasie właściwym wcale ich nie ma.

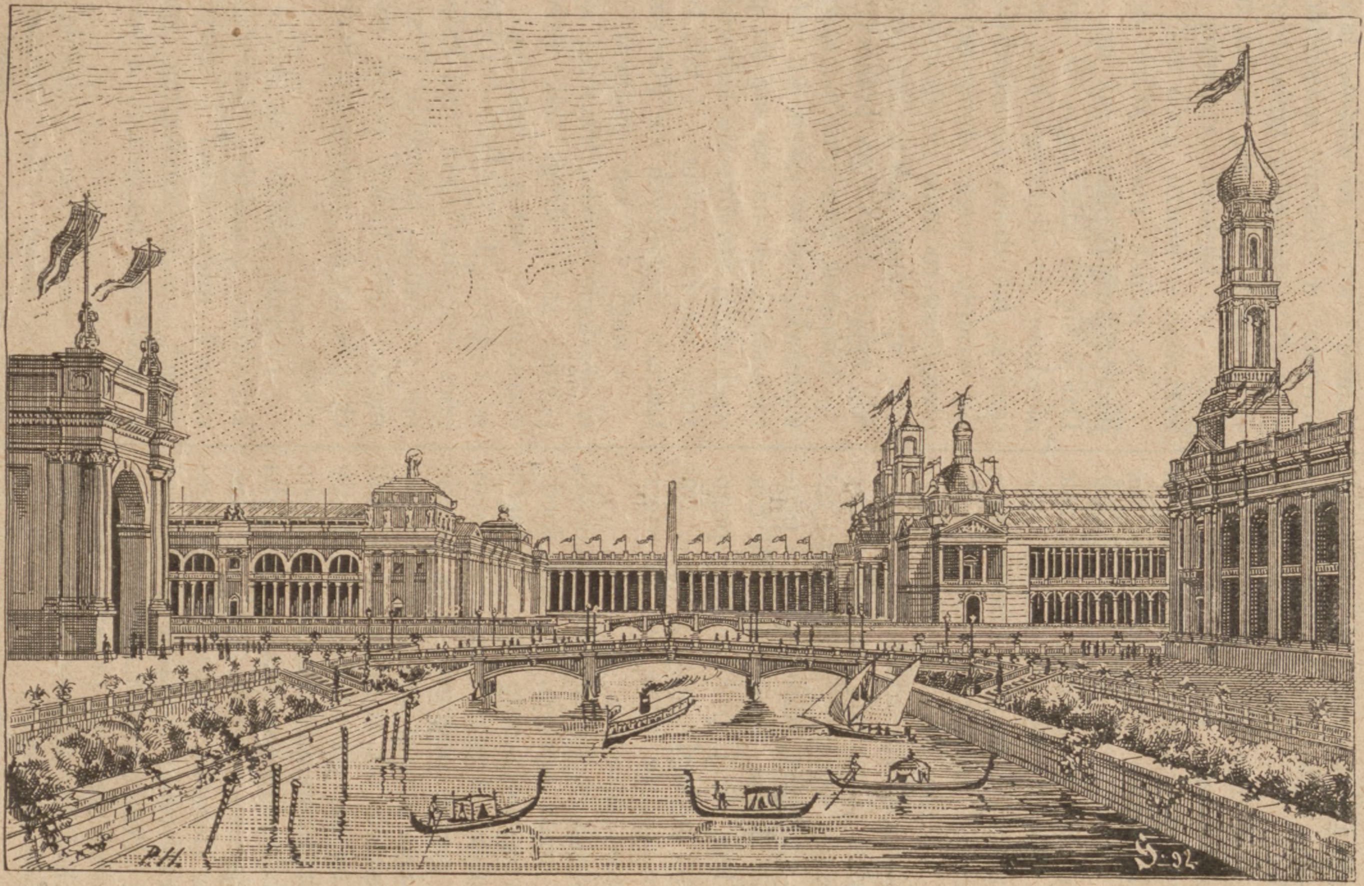
Niektóre ptaki wędrują we dnie, drugie w nocy. We dnie ciągną dzięcioły, sikory, złotniki, ziemby, czyżyki, jaskółki i wiele innych; w nocy: somy dawiciele, zimorodki, drozdy, muchołowy, ślepowrony, prócz tego wiele bagnistych i wodnych ptaków; we dnie lub w nocy: pliszki, trznadle, bociany, czaple, żórawie, jaskółki morskie, kuliki, gęsi, łabędzie, tracze i wiele innych. Ale ten przylot także niekiedy bywa zmienny, jeżeli np. ciągną prędko, wtedy wędrujące nocą ciągną także we dnie i zaledwie tyle odpoczywają, aby się nakarmiły.

Słowiki jednak nigdy nie ciągną we dnie. Dziwić się należy, jak wspomnione śpiewaki, mało snu używają. Można bez przesady powiedzieć, że ptaki te w czasie wędrówki wcale nie śpią, albo też bardzo krótko. We dnie szukają sobie pożywienia, a przy tem są zawsze wesołe, w nocy zaś, w czasie wędrówki wcale spać nie mogą.

Wiele ptaków szuka pożywienia swego w czasie podróży; do tych należą: sikora, dzięcioł, złotnik, jaskółka, tracz i inne. I tak, jaskółka, przelatując przez morze, łowi zawsze owady, a sikory, złotniki i dzięcioły, zatrzymują się na drzewach, na których spodziewają się pożywienie dla siebie znaleść.

Wszystkie ptaki wędrujące, zatrzymują się zwykle na takich miejscach, które im najwięcej pokarmu dostarczyć mogą; szukają żeru, a nazajutrz odla-

Główny gmach wystawy w Chicago.



Gmach sztuk. Gmach rólnictwa. Kolonady. Gmach machin. Gmach elektryczności.

tują, szczególnie wtenczas, kiedy pogoda sprzyja, bo jeżeli wędrówka dobrze się odbywa, żaden ptak w czasie wiosny, nie zostaje nigdy dwa dni na jednem miejscu.

Szczególną jest rzeczą, że wiele ptaków podczas wędrówki, wydaje pewne głosy, którymi w innym czasie nigdy słyszeć się nie daje. Ztąd też pochodzi, że najlepszy znawca tych stworzeń, słyszy w nocy głosy jakichś przelatujących ptaków, ale jakie to są, rozróżnić nie umie.

Jak wysoko ptaki ciągną w czasie przelotu? Bywa z tem rozmaicie i zależy po części od pogody, czasem niżej, czasem wyżej, zazwyczaj jednak dość wysoko. Widzimy to na gęsiach, kaczkach, bocianach, żurawiach, czaplach i wielu innych. Trzymają się atoli pospolicie w jednej wysokości, dla tego też, nadlatując nad góry, wznoszą się, a przeciwnie nad doliną spuszczają. W czasie mgły lecą niżej, przy pięknej pogodzie, wyżej; niekiedy nad górami, fruwają tak nizko, że zdaje się, iż wierzchołki drzew poruszają.

Wędrówka najlepsza jest wtenczas, kiedy im wiatr sprzyja, to jest, kiedy wieje w przeciwną stronę lotu. Możnaby z tego wnosić, iż ptaki nie lubią, kiedy im wiatr pierze podnosi. Tak przecie nie jest. Lot ptaków ma zupełnie przeciwny stósunek, jak żegluga morska lub rzeczna; tej sprzyja wtedy wiatr, kiedy wieje z tyłu, tamtemu zaś kiedy z przodu. Wytrawni myśliwi wiedzą o tem i dla tego polując na ptactwo przelotne, zawsze stają w kierunku wiatru, gdyż z przeciwnej strony tylko mogą się spodziewać zdobyczy. Postrzelony nawet ptak, zawsze rozszerza skrzydła przeciw wiatrowi i nieraz uleci jeszcze znaczną przestrzeń, nim spadnie na ziemię.

Trudno pojąć jak niektóre gatunki nader małych ptaków, mogą odbywać tak długie podróże, lądem i przez morza, będąc narażane na wichry i burze? Cała tajemnica jest w tem, iż umieją one rozważnie korzystać z pomyślnego wiatru, na który nieraz po kilka tygodni wypada im czekać; lecąc przez morze, na każdej wysepce zatrzymują się dla odpoczynku lub pożywienia.

Krótko ogonowe przepiórki, które u nas, bardzo mało latają, ciągną jednak do nas na wiosnę przez morze Śródziemne i wtedy to właśnie, lub w czasie powrotu w jesieni mieszkańcy wysp greckich, tysiącami je łapią. Jeżeli w czasie przelotu wiatr się obróci, a nie ma gdzie w bliskości zbawczej wysepki, wszystkie w morzu grób swój znajdują.

Są jednak ptaki, które odprawiają podróż swoją pieszo, jak np. derkacze. Dzieje się to dla tego, iż niektóre są niezdatne do dłuższego lotu, inne w jesieni są tak tłuste, że zaledwie w górę się wznieść mogą. Inne znów ciągną płynąc, są to ptaki wcale niezdatne do lotu, np. znany a l c a i m p e n i s, bezlotek, żyjący daleko na północy.

Kierunek lotu ptaków, w czasie ich wędrówki, jest w jesieni ku południowo-zachodniej, a na wiosnę ku północno-wschodniej stronie; ale kierunek ten doznaje nie raz zmiany. I tak, bieg rzeki, łańcuch ciągnących się gór zmienia go.

Uwagi to jest godnem, że ptaki w przelocie swoim, trzymają się zawsze pewnej stałej drogi tak, mniej więcej, corocznie tę samą przelatują. I tak np. w Lotaryngii, niedaleko Oberhoft, jest góra otoczona lasem, nad którą corocznie przelatują jastrzębie i soledy, tameczni mieszkańcy polują na nie, aby choć w części zmniejszyć liczbę szkodników.

Instynkt ptaków tak dalece jest wykształcony, iż niektóre powracają do tych samych miejscowości i starych gniazd swoich, co niejednokrotnie sprawdzono z jaskółkami, bocianami, a nawet kaczkami.

W jesieni, zimie i wiośnie wszystkie miejsca, które tylko ptaków wyżywić mogą, napełnione są niemi; w czasie lata rozlatują się na szersze przestrzenie. W grudniu i styczniu, przebywają nietylko nad brzegami Gangensu, Nilu i innych rzek południowych, ale nawet nad brzegami ciepłych źródeł Islandyi są i takie, które tylko zimą zwiedzają brzegi tej wyspy.

Liczne gromady ptaków, które północnym narodom z mięsa swego i jaj pożywienie, a ze skóry i pierza odzieży dostarczają, zimują nie tylko na morskich brzegach całej średniej Europy, ale prócz tego na wszystkich francuzkich, hiszpańskich, szwajcarskich, włoskich i greckich rzekach i jeziorach, a północne ptaki n. p. drozdy, zostają przez całą zimę we Francyi; często także w Niemczech południowych, a najwięcej w Sardynii.

Zastanowiwszy się dobrze nad tem wszystkiem, wyznać musimy w skrytości ducha, że w całym tym porządku wędrówki ptaków, zadziwiające a nawet niepojęte widzimy zjawiska i dla tego z podziwem zawołać możemy z psalmistą: »Panie, wielkie są dzieła, głębokie są myśli Twoje!«

STABAT MATER.

Wiatr w przelocie skonał chyżym,
Przeniknęła ziemię zgroza,
Krzyż na skale, a pod krzyżem
Stabat Mater dolorosa.

Żadnych słów i żadnych głosów,
Krew z korony Bożej spływa;
W obec Boga i niebiosów;
Stała Matka boleściwa.

Na konania patrząc bole,
Rany, pręgi od powroza,
Na łzy oczu, cierń na czole,
Stabat Mater dolorosa.

Konająca od współmęki,
Przyjmująca śmierć za żywa,
Cierń i gwoździe Bożej ręki,
Stała Matka boleściwa.

Jak raniona szybkim strzałem,
Deszczem łzy wylewa brzoza,
Z takiem sercem przebolałem.
Stabat Mater dolorosa.

Czując męki w piersi wzdętej,
Jak się życie w łzy rozpływa,
Łza przepada w uśmiech święty,
Stała Matka boleściwa.

Jak świat wielki opuszczona,
Gdy ją zdjęła życia zgroza,
Przerażona, że Bóg kona,
Stabat Mater dolorosa.

Z wysokości więc boleści,
Która ludzkie gładzi grzechy,
Na jęk trwogi, żal niewieści,
Jeszcze promień spadł pociechy.

— Nie zostawię cię sierotą,
Ukochana do ostatka,
O! niewiasto, Syn Twój oto,
Janie! oto Twoja Matka! —

O! pociecho, jakżeś sroga,
O radości z sercem sprzeczne!
Za człowieka oddać Boga,
Za doczesne oddać wieczne!

— O! Maryo nie gardź nami,
Patrząc na łzę, co nam ścieka,
Że częstokroć mniej kochamy
Stwórcę Boga niż człowieka.

— Oczyść nas Twej szaty płótnem,
Jednym wiewem złotej poły,
Niech się kocham w życiu smutnem,
I w wieczności Twej wesołej.

— A w dzień zgonu bolejąca,
Nim do wiecznych zejdę mroków,
Niech mi żal nie będzie słońca,
I powietrza i obłoków.

T. Lenartowicz.



Obrzędy weselne ludu w Wiłkomierskiem (na Litwie). (Obacz artykuł na str. 89).

Obrzędy weselne ludu w Wiłkomierskiem (na Litwie).

(Dokończenie.)

Za powrotem weselnej drużyny do domu panny młodej, drużbowie jej szczególne otrzymują przywileje. Zwyczaj bowiem pozwala im kraść wszystko co pod rękę lub oko podpadnie na korzyść nowego stadła. Kury, kurczęta, kaczki, gęsi, jajka, nawet i wszelkie gospodarskie drobiazgi napotkane na drodze, idą w obszerne sakwy weselników, a ztamtąd przechodzą na miejsce swego przeznaczenia. W razie złapania na gorącym uczynku, właściciele muszą się opłacać.

Kiedy jeszcze istniały stósunki włościan z dworem, z karczmy wszyscy biesiadnicy, nie wyłączając pana młodego, udawali się do dworu. Tu dziedzic zapraszał ich zwykle do jednego z większych pokojów, dokąd wysyłał wódkę, piwo, chleb, ser i inne pokarmy, weselnicy zaś darzyli go korowajem tj. ogromną pszenną bułką, w dziwaczne figurki przybraną, a zwykle wypiekaną przez żydówkę. Nieraz młodzież pańska, strojne dziewoje i dorodni młodzieńcy brali udział w tych zabawach, co naturalnie musiało być przyjemnem dla weselników, którzy się szczycili z tego zbratania się z panami.

Panna młoda po wejściu do dworu narzucała dziedzicowi na ramię ręcznik własnej roboty; toż samo ma miejsce za powrotem do domu. Jest to niby hasłem do rozpoczęcia tanów. Tymczasem panna młoda zbliża się do rodziców i z nieźle udanym smutkiem swój przyszły stan opłakuje. Między innemi ogólnikami powtarza po litewsku mniej więcej te słowa: »Niech będzie pozdrowiony Pan Bóg i Najświętsza Panna, i ta zagroda, i ojciec, i matka, i krewni i wszystkie sąsiadki.« Dalej ubolewa, że opuściła dom z jednem nazwiskiem, a z dwoma wróciła. Przemowa ta nosi na sobie daleko późniejszą, niż wszystkie przytoczone wyżej, cechę; nie brak jej atoli naiwnej prostoty.

Rozpoczyna się zabawa naprawdę. Smyczek grajka dobywa ze skrzypieć coraz fałszywsze tony, dzięki częstym libacyom; huczy bęben, brzęczą cymbały, rozlegają się śpiewy, śmiechy, wesołe rozmowy, głośne »hura,« tańczą, piją, jedzą.

We wtorek wieczorem lub we środę, stósownie do majątkowego stanu nowożeńców, następuje powtórny i ostateczny przyjazd pana młodego. I tu znowu nie chcą go wpuścić do młodej małżonki. Dopiero po długich targach i opłacie, dają mu wolne wejście. We drzwiach jednak chaty stawiają stołek nakryty ręcznikiem. Jeden z drużbów obowiązany jest przesadzić go jednym susem; jeżeli przeskoczy, zabiera ręcznik, w razie przeciwnym musi się opłacić. Zwyczaj ten zdaje się pochodzić z odległej starożytności, bo najdawniejsi dziejopisowie Litwy o nim wspominają.

Pan młody zasiada ze swem otoczeniem do długiego stołu, zastawionego rozmaitemi pokarmami. Tymczasem panna młoda droży się i nie chce usiąść. Wtenczas drużbowie narzekają na niesmaczne potrawy, na niedostatek soli i kwasu.

»Ni suru, ni rukszczu, wołają, marczons zejkia!« (Ani słono, ani kwaśno, panny młodej potrzeba). Wreszcie panna młoda zajmuje miejsce obok swego małżonka, a ukontentowani biesiadnicy wołają: »Dabar ir suru, ir rukszczu, nicha nie zejkia.« (Teraz i słono i kwaśno, niczego nie trzeba). I napełniwszy gorzałką kielichy, spełniają je przy radośnym okrzyku: »Hura, musu marti.« (Niech żyje nasza bratowa). Gdy się najedzą, natańcują, naśpiewają i nabawią do woli, składają na wóz rupiecie młodej, zwane krajczys, i swacia odjeżdża z niemi do domu nowożeńców. Lecz i tu nie obejdzie się bez targów; jeżeli panna młoda ma siostry, te kładą się jedna na skrzyni, druga na kuble oblubiénicy, i nie chcą tych skarbów z rodzicielskiego wypuścić domu. Targo-

wanie to trwa dopóty, dopóki obie strony zmęczone nie zawrą przymierza, na podstawie dobrej woli lub kilku miedziaków. Wtenczas swacia odjeżdża do przeznaczonego miejsca, a w trop za nią postępują drużbowie panny młodej.

W godzinę lub więcej po wyjeździe swaci następują przenosiny nowożeńców do nowego domu. Towarzyszą im niektórzy z biesiadników, wyjąwszy wszakże drużki, które rozchodzą się do domów. Nowo pobrana para jedzie razem na jednym wozie. Oprócz pozostałej wyprawy, panna młoda wiezie chleb i dzban piwa, którego ani kropli, bez sprowadzenia na swój dom nieszczęścia, uronić nie powinna. Starożytni i dzisiejsi Litwini widocznie piwo uważają jako symbol obfitości i mocy. U starożytnych Greków toż samo znaczenie miał jęczmień. We wrotach spotyka młodą parę matka oblubieńca, przybrana w kożuch obrócony włosem do góry, wynosząc na spotkanie synowej chleb, sól, pieniądze i znowu piwo.

Ledwie nastanie dzień, aliści hałas, stuk, brzęk i odgłosy wszelkiego rodzaju, odzywają się w około domu. Sprawcami tego rozruchu są drużbowie i inna młodzież, która obległszy dom z kijmi, bębnami, skrzypcami przy głośnych okrzykach straszliwy wyprawia hałas. Nieprzyjemność tę nowożeńcy opłacić jeszcze muszą podarunkami, które stanowią najczęściej własną ręką panny młodej utkane pasy, zarówno przez mężczyzn jak i kobiety noszone. Oblubienica, zabrawszy z solą przywiezione wczoraj chleb i piwo, pełni już rolę gospodyni, obdzielając gości.

Zgromadzona tymczasem młodzież, jakby mszcząc się, że jedna dziewczyna ubyła, dopuszcza się wszelkiego rodzaju żartów z panny młodej. Na wszystkie jednak te kpiny, panna młoda obowiązaną jest odpowiadać z obojętnością i powagą, nowemu powołaniu swojemu właściwą. I rzecz dziwna — prawie żadna z nich się nie rozśmieje.

Ostatnią zabawą weselną jest tak zwany obiad czwartkowy, na który zbierają się sąsiedzi, przynosząc z sobą rozmaite potrawy, tak iż ta ostatnia uczta nietylko że nic nie kosztuje nowożeńców, lecz owszem przyczynia im na kilka dni przynajmniej hojnych resztek sutego obiadu. Tu także mają miejsce owe ofiary przedmiotów gospodarskich przy zaręczynach obiecanych.

KONIEC.

Z SIEROCEJ DOLI.

Wojtek! Ruszaj mi czemprędzej do Karczmarka, a żądaj zapłaty za trzewiki. Czekam już prawie pół roku, a tanio mu sprzedałem; skoro zapłaty nie dostanę, będę miał stratę i szkodę. A pamiętaj, żebyś się sprytnie zachował i pieniądze od nich dostał. Nie wychodź z izby, póki nie zapłacą.

Tak rzekł pewnego ranka majster Szydełko do swojego ucznia.

— Idę, panie majster! — odrzekł uczeń i wybiegł z warsztatu.

Kto spojrzał na młodego szewczyka, jak czapkę na bakier nasadziwszy, ręce w kieszenie schowawszy, szedł ulicą z wesołą twarzą i pomrukując znaną piosenkę: »Jestem szewczyk na dorobku,« — tenby się zaiste nie domyślił, że ten piętnastoletni chłopiec ile chwil życia, tyle biedy przechodził. Wojtek był sierotą. Rodzice odumarli go, gdy nie cały rok życia liczył, oboje na tyfus skończyli. Krewni nie garnęli się po spuściznę po nich, bo prócz lichych sprzętów domowych, tylko Wojtek stanowił spadek. Któżby sobie takie biedactwo, potrzebujące ciągłej opieki, brał chętnie na kark; każdy ma dosyć kłopotu z tem, aby własne dzieci wychować.

Lecz Bóg czuwa nad sierotami. W tym samym domu, gdzie rodzice Wojtka, mieszkała też biedna praczka.

Serce jej wzruszyło się litością na widok maleństwa, które rumiane, wesoło strzelało oczkami do życia, a miało być prawie na śmierć skazane: wzięła robaczka do siebie. Wziąć łatwo, lecz wyżywić i wychować trudniej; praczka mozoliła się bardzo, i choć jej ciężko przychodziło, przecie nie ustała w wykonaniu chrześciańskiej miłości bliźniego. Szczęściem, mały Wojtuś nie chorował, rósł żywo i zdrowo a taki był rozkoszny z niego dzieciak, że sto pociech z niego było. Gdy lat sześć skończył, poszedł do szkoły i dobrze się uczył, a mimo wesołego usposobienia, nie był roztrzepanym, ani figli się nie dopuszczał. Nauczyciele go lubili a praczka rosła w dumę, gdy jej mówiono, że z chłopczyka będzie dzielny człowiek.

Szkoła była niemiecka; Wojtek nie słyszał w niej polskiego słowa, lecz przybrana matka czuwała nad tem, aby się po polsku czytać i pisać nauczył; elementarz mu kupiła polski i wieczorami z nim czytała i pisała. Ponieważ zaś w szkole nawet religii po polsku nie uczono, przeto w domu odbywała się nauka katechizmu i biblijki. Wojtek chwytał wszystko w lot, chęć miał do nauki wielką, a że był chłopcem rozważnym, przeto raz rzekł do przybranej matki:

— Na co ja potrzebuję chodzić do szkoły, kiedy ja się w domu nauczę lepiej tego, co mi się najwięcej podoba i co mi, jak wy matko mówicie, najpotrzebniejsze?

Matka przyznała mu w duszy słuszność i rzekła:

— Dziś idzie na opak z niejednem we świecie, tak też i ze szkołą. Z Berlina każą uczyć polskie dzieci po niemiecku, choć to wielka męka dla nich i nie przynosi pożytku.

— Z Berlina? — zadziwił się chłopiec. A jak oni w Berlinie, gdzie Miemce mieszkają, uczą dzieci swoje?

— Po niemiecku, w ojczystym języku, bo za pomocą tego języka jedynie można się innych mów nauczyć.

— My tu nie Miemce, lecz Polaki, — odrzekł chłopiec — to nas w polskim języku uczyć powinni.

— Juści, że powinni, ale cóż? Berlin mocny, a my słabi. Nie ma tymczasem rady; polscy rodzice muszą w domu uczyć dziatki po polsku, bo inaczej będą z dzieci Miemce.

— Ho, ho, ja tam Miemcem nie będę.

— No, to się ucz pilnie po polsku, a głównie katechizmu...

Od tego czasu chłopczyk często powtarzał: »Berlin mocny — a my słabi« — i machał przytem ręką, jakby chciał powiedzieć: »Ale my się jednak nie damy.«

Co do Wojtka, to się istotnie nie dał, bo bardzo był pilny, w domu i we szkole a skutkiem tego prędzej go ze szkoły uwolniono, niż inne dzieci.

Co dalej? Wojtek oddawna powiadał, że chce być szewcem, bo raz nie miał biedak butów i nogi sobie odmroził. »Skoro zostanę szewcem, — tak myślał, — to przynajmniej buty będę miał zawsze.« Nadto czytał o sławnym szewcu Kilińskim z Warszawy, który za dawnych czasów, bardzo się wsławił, Moskalom wiele gorącej smoły za kark nalał a pocięglem im skórę wygarbował, za co aż pułkownikiem został. To się Wojtkowi bardzo podobało, więc został szewcem.

Także i ksiądz proboszcz, poznawszy poczciwe i pobożne serce chłopca przy nauce katechizmu (oczywiście polskiego), zajął się nim, wsparł pieniędzmi i miejsca u porządnego majstra p. Szydełki dla niego poszukał.

Wojtek i tu zjednał sobie wnet miłość majstra i majstrowej i wszystko szło pomyślnie. Praczce się teraz ulżyło, gdyż majster żywił chłopca; a było też tego potrzeba, bo długa ciężka praca zniszczyła siły przybranej matce i nie mogła już tyle zarabiać, co dawniej.

Choć Wojtek był dopiero uczniem, lecz przecie już zarabiał. Gdy odnosił buty nowe lub sporządzone, dostawał prawie zawsze kilka groszy od odbiorców, gdyż wszyscy grzecznego chłopca lubili. Wszystkie oddawał matce, która je do skarbonki chowała; było w niej teraz niecoś nad 3 talary. Wojtek się

cieszył i często z matką rozmawiał, co on sobie za to kupi?...

— »Jestem szewczyk na dorobku, mam sto butów na warsztacie« — tak z cicha nucąc szedł Wojtek, uderzając w takt do piosenki trepkami o ziemię.

Szedł do Kaczmarka, a ponieważ już przed 3 miesiącami u niego był, więc mieszkania nie potrzebował długo szukać.

Na trzeciem piętrze, pod strychem, mieszkał robotnik Kaczmarek z żoną i dzieciną. Wojtek, gdy był pierwszy raz, cieszył się z dziecka. Teraz sobie to przypomniał i rad był wiedzieć, jak się dziecku powodzi.

Zapukał we drzwi; nie słysząc głosu z izby, otworzył zwolna drzwi i wszedł. Jakże się zdziwił! Izba była prawie pusta; łóżko tylko, skrzynka przy niem, trochę drobnych rupieci. Na łóżku zaś, przykryta derą, leżała Kaczmarkowa; przy niej dziecko kwiliło.

— Bóg z wami! — rzekł Wojtek. Czyście chorzy? A gdzie macie rzeczy? Gdzie wasz mąż?

— W ziemi!... — odrzekła chora.

— Umarł? Mój Boże i was sierotami zostawił. Tak tu zimno, czy nie macie czem palić?

— Ostatni grosz wydałam wczoraj — odpowiedziała chora; — teraz czekam na śmierć lub zmiłowanie Boże.

Wojtkowi zakręciły się łzy w oczach. Poszedł do łóżka, bo dziecko w płaczu nie ustawało.

— Pozwólcie — rzekł — ja je uspokoję.

To powiedziawszy, wziął dziecko na ręce i chodząc po izbie, huśtał dziecinę, przyśpiewując łagodnie, aż usnęło.

Podczas gdy chodził po izbie, myślał nad tem, jakby tej biednej dopomódz. Naraz rozweseliła mu się twarz radością; znalazł sposób.

Ułożywszy dziecko przy matce, rzekł:

— Wiecie co, Kaczmarkowa? Ja wam przyślę moję matkę, aby się wami opiekowała, póki nie wyzdrowiejecie. Matka moja jest taka dobra, że z pewnością to uczyni.

— Niech ci Bóg zapłaci, — odpowiedziała chora...

W kilka chwil potem już przybrana matka wiedziała o wszystkiem. Gdy Wojtek wszystko powiedział, ukląkł przed nią i tak powiedział:

— Matusiu! Ja wiem, że wy nie macie pieniędzy, lecz ja mam, wiecie, te w skarbonce. Dajcie je Kaczmarkowej, bo ona biedniejsza odemnie. Ja sobie znów zarobię.

Praczka przycisnęła go do serca i ze łzami w oczach, odpowiedziała:

— Te słowa twoje obficie mi zapłaciły wszystko, com dla ciebie uczyniła, albowiem widzę, żem cię wychowała na poczciwego człowieka, który czynem okazuje, że bliźniego swego miłuje. Niech ci Bóg błogosławi, moje dziecko...

Majster Szydełko czekał na Wojtka z niecierpliwością.

— Dostałeś pieniądze?

— Nie, panie majster; Kaczmarek zmarł, ona chora; bieda tam wielka; w izbie jeno cztery kąty a piec piąty.

— Znowu strata — burknął majster przez zęby — i jak się tu człowiek ma dorobić?...

Po chwili jednak dodał:

— Więc tam bieda?

— Okropna, panie majster, — odrzekł Wojtek; — zimno, bo nie mają czem palić, głodno, bo nie mają co jeść, biedne sieroty!

— No, to daruję im, co mi winni — zawołał majster.

— Bóg zapłać, panie majster — krzyknął Wojtek i pochwycił dłoń jego, aby ucałować.

— Cóż to — zadziwił się majster — czy oni twoi krewni, że tak dziękujesz?

— Krewni, bardzo bliscy krewni — odrzekł ze smutną twarzą Wojtek — bo ja sierota i oni sierotami...

— Poczciwy chłopiec! — mruknął pan majster.

I zaiste! Ten dzień życia Wojtusia z pewnością złotemi głoskami został zapisany przez Boga w księdze żywota!...



Z SIEROCEJ DOLI. (Obacz artykuł na stronie 90.)

RÓŻNE DESZCZE.

Juliusz Obsequens, w 4-tym wieku ery chrześciańskiej, napisał Księgę zjawisk nadprzyrodzonych, obejmującą nadzwyczajności do czasów rzeczypospolitej rzymskiej. Przytacza on w niej prawie na każdej stronnicy najosobliwszego rodzaju deszcze: deszcz krwawy, mięsny, siarczysty, kredowy, mleczny, kamienny i t. d.

Trudno byłoby wyliczyć, co tam już według zdania Obsequensa spadało z nieba; nawet za czasów Numy spadł z obłoków ów sławny puklerz, zwany Ancilium, który miał służyć za ochronę Rzymowi. Król kazał zrobić jedenaście innych, podobnych do niego, ażeby w żaden sposób nikt z chcących ukraść talizman nie mógł rozpoznać prawdziwego od fałszywego.

Podania mówią o deszczach ze krwi za czasów Romulusa; — za Hostyliusza miał spaść na górze Alby deszcz kamienny, z taką siłą, z jaką widzimy niekiedy grad rozbijający się o ziemię. W r. 282 od założenia Rzymu spadł deszcz mięsny, który zlatując w mniejszych i większych kawałkach, na podobieństwo płatków śniegowych, był chwytany i pożerany przez rozmaitego rodzaju ptactwo w powietrzu. Cząsteczki zaś które zdołały dolecieć do ziemi, pozostały na niej rozproszone tu i owdzie, nie zmieniając barwy i zapachu, wbrew zwykłej naturze martwego mięsa. Na lat 264 przed Nar. Chr. mleko spadając z nieba wielkiemi kroplami, pokryło całą ziemię białą rosą. W r. 213, 203 i 200, spadły znowu deszcze z drobnych kamyków. W roku 173 spadły z nieba płonące pochodnie i kaganki. W roku 126 trafiały się deszcze krwiste. W r. 123, 122 i w 104, deszcze oleiste. W roku 96 na scenę cyrku, w którym dawano widowisko, upadł gęsty deszcz z miałkiej kredy, co, dodaje kronikarz, poczytano za wróżbę urodzaju i plenności zboża. Kronikarz dla tego tylko przytacza podobne wspomnienia, niby historyczne, ażeby je zamieniać w nieomylne wróżby. W ciągu średnich wieków, w epoce odrodzenia, a nawet i w naszym wieku, trafiało się nietylko bardzo poważnym historykom wspominać owe osobliwsze deszcze, ale nadto przypisywać im jakieś fatalne wpływy. Tak n. p. Ambroży Paré, opowiedziawszy w swojej »Księdze Potworów,« że żaden kometa nie pojawia się nigdy na niebie bez wywołania strasznego wypadku, — przytacza zdarzenie, iż 19-go Lipca 1550 roku w Saksonii, niedaleko Wisembergu, widziano w powietrzu dwa ścierające się z sobą wojska z ogromnym zgiełkiem, a następnie przez trzy dni z rzędu krew w postaci gęstego deszczu lała się na ziemię. Takież same zjawisko (według jego świadectwa) miało się powtórzyć w biskupstwie Dole, w miesiącu Maju roku 1565, w Czerwcu zaś tego samego roku widziano je znowu w Anglii; podług niego w Wenecyi padał śnieg zakrwawiony, nie licząc już deszczów żab, ryb i t. p.

W naszych czasach nic się nie zmieniło w zasadniczych pierwiastkach i porządku zjawisk przyrody, zachodzi jedynie ta różnica, iż zamiast, na wzór naszych przodków, przypisywać im nadziemne pochodzenie, badamy naukowo obce ciała spadłe na ziemię, bez przypisywania im jakiego wpływu na losy ludzkości.

I tak n. p. sprawdziwszy rzeczywistość czerwono-błotnistego deszczu, który padał w departamencie Sony i Loary 15-go Kwietnia w r. 1880, dowiadujemy się bez najmniejszego przerażenia, że — według sprawozdania urzędowego, dnia 25-go tego miesiąca, mieszkańcy obu departamentów Niższych-Alp, Izery, widzieli po nad sobą przeciągające przez cały dzień posępne chmury, po których przejściu spadł śnieg obfity, lecz nie biały tylko czerwono-ceglasty. Ten śnieg pokrył wszystkie góry nieprzechodzące wysokością 3,000 metrów, czerwoną warstwą, od której rażąco odbijała białość wyższych wierzchołków.

Przeczytawszy powyższą wiadomość, jesteśmy pewni, iż krew nie odgrywała najmniejszej roli w tej całej sprawie. Uczeni, otrzymawszy próbki wyżej wymienionego deszczu i śniegu, poddali takowe rozbiorowi i odkryli w nich po prostu pierwiastki (cząstki) mineralne, dowodzące, iż obłoki, które dały początek owemu deszczowi i śniegowi, spotkały się w górnych sferach atmosferycznych z wiatrami, unoszącymi pył z ziemi zawierający cząstki żelaza, miki i feldspatu. Ta mięszanina właśnie spowodowała owo zabarwienie.

Zkądże wiały wiatry?... jak mogły unieść z sobą taki zapas różnobarwnego pyłu? Są to pytania, na które z powodu zmienności kierunku wiatrów, nie tak łatwo odpowiedzieć, chociaż sam fakt nie mniej przeto pozostanie niezaprzeczonym, jako oparty na doświadczeniu. Podobne deszcze, spadające na ziemię w postaci gęstego pyłu i piasku, nie należą bynajmniej do rzadkich zjawisk, pokrywają one częstokroć całe przestrzenie cząsteczkami ziemistemi, które przed swem spadnięciem odbywały już długą nadpowietrzną podróż. Jako przykład możemy tu przytoczyć (nie mówiąc już o popiołach wulkanicznych, unoszonych wiatrami niekiedy bardzo daleko), że Sycylia i Włochy południowe otrzymują pod postacią suchych obłoków spadające piaski, naniesione wirami nadpowietrznymi aż z Sahary (w Afryce). Toż samo zdarza się, lubo rzadziej, w południowej Francyi, szczególniej kiedy wieje straszliwy wiatr sirocco.

W ogromnem państwie chińskiem, prawie wszędzie pozbawionem swej dawnej roślinności leśnej, deszcze błotniste padają bardzo często, ponieważ wiatry powstające w górach, nie powstrzymywane niczem, bezustannie unoszą z sobą tumany pyłu. W skutek tego zapylenia atmosfery (powietrza), chińczycy nie mogą otrzymywać glinki porcelanowej równie czystej, jaką posiada Japonia, która naokoło oblana wodą ma atmosferę nierównie czystszą.

Wiedząc to, łatwo pojmiemy, że deszcze mleczne powstają przez to, iż wiatry nanoszą pyłów wapnistych lub kredowych; co zaś do siarkowych, to gwałtowne wiatry przechodzące przez lasy drzew liściastych, jako to olch, brzóz i t. p. w porze kwitnienia unoszą z nich pyłek zapładniający, który spadając następnie na ziemię, barwą swą przypomina siarkę.

O deszczach oleistych, nie napotykamy nigdzie wiadomości w naszych czasach, a mniemane deszcze z kawałków nieulegającego zepsuciu mięsa, służącego na ucztę dla ptaków, można zaliczyć do liczby wierutnych bajek.

Deszcze ogniste, owe rozżarzone pochodnie i kagańce spadające z nieba, nie są niczem innem, jak tylko dziś już dostatecznie wyjaśnionem zjawiskiem, zwanem poetycznie s p a d a j ą c e m i g w i a z d a m i. Wywołują je mnóstwo asteroidów (małych gwiazdek, albo cząsteczek innych gwiazd), które zetknąwszy się z atmosferą otaczającą ziemię, rozgrzewają się, a nawet zapalają wskutek tarcia, i, zakreślając brózdy świetlane, spadają w mniejszej lub większej ilości na ziemię.

Pozostają nam jeszcze do wyjaśnienia deszcze żab, ryb i ropuch, które przynajmniej usprawiedliwiają swoje nazwisko, nie będąc złudzeniem. Jest to bowiem prawda stwierdzona wielokrotnem zeznaniem wiarogodnych świadków, że po burzliwej nawałnicy, na ogromnych przestrzeniach ziemi, roiło się niezliczone mnóstwo maleńkich żabek, lub miliony rybek, rzucających się konwulsyjnie i zamierających w obcym sobie żywiole. W Europie wprawdzie zjawisko to bywa nadzwyczaj rzadkiem, ale w krainach podzwrotnikowych pospolicie się przytrafia.

Trąby powietrzne, tak zwane cyklony, widujemy niekiedy działające z mniejszą gwałtownością u nas, kiedy podczas dni burzliwych, kręcąc kurzem po gościńcach, porywają w środek swoich wirów słomę, papier i wszelkie lekkie ciała, które następnie rozrzucają daleko.

Kiedy taki gwałtowny wicher zacznie szaleć ponad jaką mokrą łąką, kałużą lub jeziorem, wzburza aż do dna za-

warte w nich wody i wyrzuca na powierzchnią ryby lub żaby. Drobne te stworzenia zostają następnie wciągnięte wpośrodek trąby i uniesione daleko; skoro zaś jej kręgi niższe tracą przyciągającą siłę, rozsypują się one po ziemi.

Otóż doszliśmy do zjawiska, które w ciągu ostatnich czasów zwróciło na siebie uwagę najuczeńszych badaczów.

Od wieku do wieku ziemia otrzymuje deszcz zupełnie odrębnego rodzaju, który odgrywa nader ważną rolę w ekonomii.

Dwa wiele znaczące zjawiska były przedmiotem przez długi czas naukowych sporów.

Uznając ten pewnik, że większa część roślin okazuje, przy rozbiorze (badaniu) wchodzące w skład swój żelazo, zapytywano: jakim sposobem rośliny te mogły wyciągnąć ten pierwiastek z gruntów nie mających w sobie nic żelazistego?

Z drugiej strony zdarzało się, iż badając mikroskopijne ciałka unoszące się w powietrzu, stanowiące tak zwane pyłki atmosferyczne, znajdowano pomiędzy niemi znaczną ilość maleńkich ziarneczek, złożonych z żelaza w stanie rodzimym, które czepiały się sztabki namagnesowanego żelaza, za jej zbliżeniem.

Wszyscy musieli zrazu sądzić, że te nieskończenie drobne ziarneczka zostały uniesione przez wiatr, z miliardami innych cząsteczek wchodzących w skład pyłu, że musiały pochodzić, osobliwie w okolicy miast, z ciągłego zużywania się kół wozowych, podków końskich, gwoździ od butów i t. p. Jeżeli zaś napotykano pyłki takowe daleko od miast i gościńców, przypisywano ich obecność wpływowi przeciągów atmosferycznych. Lecz obok nich z zadziwieniem napotykano cząsteczki innego metalu, o tyle nieznanego i mało upowszechnionego, o ile żelazo jest znanem i używanem, to jest niklu.

Zkądże mógł pochodzić ten nikiel? Jakim-że sposobem to się działo, że te cząsteczki metaliczne znajdowały się pomięszane ze wszystkiemi pyłami, zebranemi bądź to na dachach budynków miejskich, bądź to na źdźbłach traw i roślin w czystem polu? Pomimo wszelkich badań, sprawa ta pozostawała nierozstrzygniętą, dopóki nareszcie znakomity żeglarz szwedzki Nordenskiöld, nie rzucił na nią prawdziwego światła.

Otóż ten nieustraszony wędrowiec, znajdując się na Spitzbergu, w stronach gdzie niepodobna było przypuścić, ażeby prądy atmosferyczne mogły przynieść cząsteczki żelaza oderwane od kół wozowych i końskich podków, dostrzegł na wieczystych śniegach rodzaj pyłu, który umyślił zbadać. I cóż było wynikiem tego rozbioru? Oto pokazało się, iż pył ów składał się wyłącznie z cząsteczek niklu i żelaza. Ponieważ zaś wiedział, iż żelazo i nikiel, bądź osobno, bądź też w połączeniu, są głównemi pierwiastkami kamieni meteorycznych, spadających z nieba zwłaszcza w dniach kiedy widocznem bywa zjawisko gwiazd zlatujących (owych pochodni i kagańców starożytności), z łatwością żeglarz uczony wywnioskował, iż znalezione pyły metaliczne mogły pochodzić że starcia lub skruszenia się asteroidów, które, jak to dziś już wszyscy wiedzą, krążą w nieskończonej ilości w przestworach powietrznych.

Znajdujemy tu zarazem potwierdzenie, iż czy to przez spożywanie roślin, lub też mięsa zwierząt, pochłaniamy cząsteczki żelaziste, które stanowią jeden z niezbędnych pierwiastków krwi, nadających jej barwę i siłę.

I któżby, ujrzawszy po raz pierwszy zjawisko gwiazd spadających, mógł się domyśleć, iż te prześliczne meteory, zakreślające nad naszemi głowami pyszne świetlane smugi, mają jedyne, szczególne posłannictwo: obsypywania naszych pól, łąk i ogrodów — proszkiem zabezpieczającym nas przeciwko bezkrwistości.

Nie ma nic straconego, nic bezużytecznego w tej całości, gdzie p o r z ą d e k stanowi najpierwsze prawo, a owe pozory zboczeń, są tylko najwspanialszemi świadectwami wszechmądrości Boga.

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa »Katolika« w Bytomiu G.-Szl. — Redaktor: **Adam Napieralski** w Bytomiu.

Zaproszenie do przedpłaty na 2-gie ćwierćrocze.

Z Nowym Rokiem przybyło »Światłu« tylu abonentów, że gdyby się ta liczba na stałe utrzymała, istnienie »Światła« byłoby zapewnione. Rok temu było podobnie w pierwszem ćwierćroczu, lecz w ciągu roku znów abonentów ubyło.

Redakcya uprasza Szan. Abonentów obecnych, aby wszyscy raczyli i nadal »Światło« sobie zapisać i wytrwać przy niem przez cały rok. Skoro się to stanie, będziemy mogli pismo coraz więcej ulepszać, rozszerzać, doskonalić tak co się tyczy artykułów, powieści i t. d., jak i obrazków.

Do dzisiejszego numeru dodajemy podwójny dodatek; jeżeli liczba abonentów się nie zmniejszy, będziemy to mogli częściej czynić a niezawodnie też zdołamy spełnić życzenie wielu czytelników i podawać w dodatku więcej rzeczy zabawnych, obrazków ucieszych, aby i pod tym względem wypierać niemieckie pisma z domów polskich. Oczywiście, że i w tym dziale umieścimy tylko takie rzeczy, które katolickiemu charakterowi pisma naszego żadnej ujmy nie zrobią, jak w ogóle najpierwszem staraniem redakcyi zawsze było i będzie, podawać tylko zdrową strawę duchową dla katolicko-polskiego społeczeństwa jedynie stósowną.

Komu tedy zależy, aby jedyne polskie pismo ilustrowane (z obrazkami) w tym rodzaju, jak nasze »Światło,« się utrzymało; kto pragnie, aby zdołało z czasem (nieraz bardzo płytkie i szkodliwe) pisma niemieckie z rodzin katolicko-polskich wyprzeć, niech »Światło« abonuje, popiera, poleca, rozszerza między znajomymi.

W tej myśli zapraszamy Szan. Abonentów do odnowienia przedpłaty na 2-gie ćwierćrocze.

Na początku roku nie otrzymało wielu Abonentów niektórych numerów, co się tem tłomaczy, że albo zbyt późno »Światło« zapisali, albo też poczta z powodu wielkiego przyrostu abonentów nie mogła wczas numerów rozesłać. Sądzimy, że teraz już każdy abonent posiada wszystkie numery. Ktoby ich nie miał mieć, niech będzie łaskaw przez kartę korespondencyjną od ekspedycyi »Światła« numerów brakujących zażądać a odbierze je zaraz.

Abonentom pocztowym donosimy, że każdy numer »Światła« oddajemy dzień przed 1 lub 15 każdego miesiąca na pocztę tak, że 15, 16, 17 a najpóźniej 18 każdy swój numer w rękach mieć powinien. Jeżeli go nie ma, albo jeżeli zachodzą jakie inne nieporządki, to poczty wina, nie nasza. W takich razach prosimy się na swojej poczcie upomnieć, gdy zaś nie skutkuje, na karcie nam donieść a zaniesiemy skargę do dyrekcyi pocztowej.

Dziękując tym, którzy »Światło« popierają, prosimy ich nadal o poparcie.

☞ Abonujcie „Światło!“ ☜

Redakcya „Światła“ w Bytomiu na G.-Szl.

GLADSTONE,

dwojga imion Wiliam, Ewart, mąż stanu i obecny prezes ministrów angielskich, zasłużył sobie na umieszczenie jego portretu we »Świetle« dla tego, ponieważ Irlandyi, gnębionej od wieków przez Anglików, chce dać wolność. Z gazet politycznych wiedzą nasi Czytelnicy o tem, że na początku Lutego przedłożył nowe prawo dla Irlandyi, zwane: »homerule-bill.« Na mocy tego prawa ma się Irlandya stać samodzielną, ma odetchnąć swobodnie po długich latach okropnego ucisku i prześladowania. Gdy Gladstone to prawo w sejmie angielskim przedkładał, powiedział między innemi, że Anglia ma obowiązek raz wreszcie wymierzyć sprawiedliwość Irlandyi i naprawić grzech wielki, jakiego się Anglia względem Irlandyi przez długie wieki dopuszczała.

Gladstone urodził się 29-go Grudnia 1809. Ojciec jego był bogatym kupcem w Liwerpolu. W 25 roku został wybrany posłem, a krótko potem został sekretarzem stanu w ministerstwie. Do r. 1845 trzymał z partyą konserwatywną, odtąd do dziś z liberalną, której jest od wielu lat głową i przywódzcą. Od 25 roku



życia bierze udział w politycznem życiu bez przerwy i dziś wszyscy podziwiają tego starca, który choć podeszły w leciech, na ciele bardzo krzepki jeszcze a przedewszystkiem ma ducha bardzo żywego i bystrego.

Mąż to bardzo uczony i znawca sztuk pięknych; napisał wiele książek rozmaitych. Mówca doskonały.

Jeżeli mu się uda prawo dla Irlandyi przeprowadzić, pozostawi po sobie dzieło wielkie i szlachetne.

Warto tu dodać, że wzorem do prawa tego było dla Gladstone prawo, podług którego uregulowany jest stósunek Chrobacyi do Austryi. Niektóre części prawa dla Irlandyi są prawie dosłownie wzięte z chrobackiej konstytucyi. Sekretarz Gladstona przebywał zeszłego lata w Chrobacyi i zapoznawał się z tamecznemi urządzeniami państwowemi. Dziwny zbieg okoliczności, że losy Irlandyi w ucisku tak bardzo podobne do losu wielu narodów słowiańskich, oprą się, gdy prawo do skutku przyjdzie, na prawach, podobnych do praw jednego z słowiańskich ludów.

O gęsiach.

Jakkolwiek u Niemców istnieje przysłowie: »głupi, jak gęś«, nie można go jednak nazwać zbyt trafnem, o czem świadczą poniższe przykłady.

Pewien gospodarz zauważył, że gęś, która miała siedzieć na jajach, nie wypełnia swych obowiązków i ztąd przyszedł do wniosku, że jest chora. Jakież jednak było jego źdźiwienie, kiedy jednego razu spostrzegł, że gęś, ledwie włócząc nogami, prowadzi za sobą jakąś młodą gąskę i tę usadziła na jajach. Przez ten czas pierwsza znajdowała się wciąż w pobliżu i doglądała, jak zastępca wypełnia powierzone sobie obowiązki. Na drugi dzień zdechła. Nie jestże to instynkt [illegible] Stara gęś jakby przeczuła [illegible] koniec i uprosiła tow[illegible] o zastępstwo.

Jeden rólnik [illegible] opowiada nast[illegible] ręcząc za jeg[illegible]

Kogut j[illegible] zwycięż[illegible] tylko ją spotka[illegible] łosiernie, jako najw[illegible] wroga. Gęś przez [illegible] była cierpliwa, aż w końc[illegible] cierpliwiona, schwyciła koguta dzióbem, wepchnęła do wody i tam trzymała dotąd, dopóki nie utonął. Wtedy dopiero odetchnęła.

Pewien pastor w Oldenburgu opowiada zdarzenie następujące:

W pobliżu mego mieszkania znajdowała się młoda szara gęś, która niejednokrotnie szukała we mnie obrony przed swym sąsiadem, bezustannie napadającym na nią. Ilekroć przybiegła do mnie, chwytałem białą gęś i pozwalałem szarej dziobnąć ją kilka razy, z czego była nad wyraz zadowolona. Walka pomiędzy nieprzyjaciółmi zaraz się kończyła — a szara gęś później witała mnie na ulicy radosnem gęganiem i odprowadzała do domu; częstokroć nawet towarzyszyła mi w przechadzce.

Jeden z obywateli wiejskich donosi, iż w jego posiadłości jest gęś, posiadająca tak delikatny słuch, że była w możności peł-

nienia obowiązków psa — dozórcy. Przy najmniejszem poruszeniu, gęś podnosiła alarm, chociaż psy były spokojne. Jakże wobec tego dziwić się opowiadaniom, że gęsi uratowały Rzym.

Amerykański dziennik »New-York-Wittnes« donosi o następującem zdarzeniu, jakie mu podał jeden z korespondentów.

Rzecz dzieje się w stanie Alabama, pomiędzy Portersgay i Millersville. Korespondent spostrzegł stado gęsi, które na szyjach miały coś niezwykłego. Wpatrzywszy się uważnie, zauważył, że to były dzbanuszki wązko szyjkowe. Zwrócił się do pasterza z zapytaniem, co to znaczy. Ten odpowiedział, że w dzbanuszkach znajduje się woda do picia dla gęsi, które pasą się w miejscowościach, gdzie wody jest bardzo mało albo i zupełnie nie ma. Skoro zaś która z gęsi poczuje pragnienie, zwraca się do swej towarzyszki i pije z jej dzbanuszka. Zaiste, czyż nie dziwnem wydawać się to może?

Przy tej sposobności zwrócić należy uwagę na hodowlę gęsi, która u nas pozostawia wiele bardzo do życzenia. A przecież w Ameryce powyższa gałąź przemysłu, jest na wybitnym stopniu rozwoju, chociaż okoliczności są daleko mniej sprzyjające hodowli aniżeli u nas. Samych piór na poduszki do Stanów Zjedn. przynosi chów gęsi rocznie około 1,350,000 kilogramów (135 wagonów), a wszystkich gęsi pada tam rocznie około 3 milionów. Hodowlą tego ptactwa zajmują się głównie mieszkańcy Stanów Ilinois, Missouri, Arcanzas, Teueesy. Trzeba zwrócić uwagę, że w zimie, kiedy marzną rzeki a pola pokryte są śniegiem, gęś zjeść może tyle, co i baran i dlatego utrzymanie jej najdogodniejszem jest tam, gdzie zima jest niedługa. Lecz z drugiej strony pióro gęsie lepsze w krajach chłodnych.

Możnaby z hodowli gęsi otrzymać nader ważny artykuł handlu, gdyby postawić ją na odpowiedniej stopie i prowadzić handel z zagranicą. Najdogodniejsza chwila jest Boże Narodzenie, kiedy nawet średnio zamożna rodzina w Anglii uważa za konieczne zjeść gęś. Ona w tym czasie dochodzi tam od 3—5 rubli za sztukę, czyli że zysk przy wywozie już choćby tysiąca, jest nader znaczny. Powinniśmy na to zwrócić uwagę, gdyż dochód z tego źródła ogromny. W końcu możemy zauważyć, że Anglicy są nader wymagający i że gęsi należy pomieszczać najpierw każdą oddzielnie a później w ogólnych koszykach.

Byłoby też rzeczą wielce zyskowną, gdyby polscy przedsiębiorcy zajęli się fabrykacyą półgęsków, które znamy jako pomorskie. To z naszych gęsi te półgęski, sfabrykowane przez Niemców a przez nas znowu za drogi grosz kupione. Ten pieniądz mógłby całkiem u nas pozostać, gdybyśmy się tą gałęzią handlu zajęli.

Praktyczne rady.

— **Nalewka na lilie.** Doskonałym środkiem na rany oparzelizny i stłuczenie jest nalewka na lilie białe. Zrywa się je w pełnym rozkwicie, ostrożnie zdmuchuje się lub wyciera płatki z żółtego pyłku, wrzuca je w butelkę o szerokiej szyjce i zalewa spirytusem zbożowym. Po zakorkowaniu i oblaniu lakiem, trzyma się butelkę przez kilka tygodni na słońcu. Do użytku wyjmuje się listki i, zwilżywszy je spirytusem, przykłada na ranę. Skoro jeden wyschnie, przykłada się drugi, a poprzedni znowu trzeba umoczyć w spirytusie.

— **Aby zapobiedz gorzknieniu oliwy,** sypie się do flaszki 1—2 łyżek suchej, miałko utartej soli i od czasu do czasu pomięszać ją trzeba i tak flaszkę niezakorkowaną na chłodne miejsce ustawić; aby uchronić od kurzu, można obwiązać papierem i ten gęsto szpilką poprzekłuwać.

— **Suknie ze satyny ciemne** najlepiej krochmalić we wodzie klejowej. Pewna ilość kleju rozgotuje się i wlewa tyle do wody, że gdy się ręce w nią włoży i rękę jedną o drugą potrze, uczuje się, że jest cokolwiek klejowata. Jasne zaś satyny lepiej żelatyną krochmalić. Na liter wody bierze się 30 gramów żelatyny i stawia na gorącem miejscu, dopóki się nie rozpuści.

— **Farba do stemplowania.** 3 części oleju, 1 część ultramaryny uciera się na kamieniu. Do czarnej farby używa się anilinu (Wasserblau) i rozpuszcza z małym dodatkiem octu drzewnego i alkoholu w glicerynie.

— **Pranie rzeczy skórzanych.** Westki, przykrycia, powłoki z poduszek itp. pierze się jednym sposobem. Najgłówniejszą rzeczą jest suszenie i wyciąganie po praniu, aby się nie skurczyły lub nie stwardły. Trochę sody rozpuszcza się w ciepłej wodzie na słaby ług; rzeczy do prania przeznaczone namydla się dobrze i kładzie na dwie godziny do tej ciepłej sodowej wody, przykrywa dobrze naczynie i stawia na ciepłej blasze, aby nie wystygło. Po dwóch godzinach bierze się ów przedmiot w palce i dobrze się w tej wodzie wyszasta, a brudniejsze miejsca przeciska się kilka razy przez palce, aby brud zeszedł. Potem raz jeszcze się kładzie w czystą sodową wodę, zmieszaną z mydlinami i znów w niej dobrze przepłukuje; po wypłukaniu wyciska się przedmiot przez palce z wody, wkłada w grubo złożone chusty i tak się długo uderza ręką, aż prawie w tem zawinięciu nie uschnie zupełnie, potem powiesza się na słońcu lub przy ogniu, aby prędko wyschły a przy tem wyciąga się wyprany przedmiot podług formy. Jak tylko uschnie, szczotkuje się mocno po obydwóch stronach, lecz dobrze uważać trzeba, aby nie porozciągać. Nigdy się skóry nie płucze w czystej wodzie, tylko zawsze w mięszanej ze sodą i mydłem.

— **Przedmioty z bronzu** czyści się najlepiej cykoryą. Cykoryą rozrabia się we wodzie, masę tę przenosi się szczoteczką na bronz, wytrze się dobrze a potem wypłucze.

Niby nadzwyczajność.

Figiel dowcipny i nie wymagający zachodu: Na miseczkę nalewamy wody i na powierzchni płynu układamy kilka zapałek w ten sposób, aby utworzyły gwiazdę. Gdy potem włożymy w środek gwiazdy kawałek spiczasto ostruganego mydła — zapałki rozpierzchną się na wszystkie strony, a zbiegną się, jeżeli w wodzie zanurzymy kawałek cukru. Dokładniej tę wrzekomą osobliwość tłumaczą rysunki. Można zamiast zapałek użyć maleńkich rybek drewnianych, stósownie pomalowanych. Niby nadzwyczajność poprzedzona przedmową na temat łakomstwa drzewa, uczyni żart zabawniejszym.



Zapałki-smakosze.

Rozmaitości.

* **Wystawa w Chicago** odbędzie się w bieżącym roku. »Swiatło« podaje dziś obrazek głównych gmachów a myśli, że później poda więcej wiadomości o tem, albowiem na tę wystawę zamierza jechać założyciel »Światła« i napisze dla niego stósowne artykuły.

* **Wytrzymałość krowy na głód.** Pan H. Raff, c. k. weterynarz powiatowy w Żółkwi, donosi o ciekawym wypadku, który w streszczeniu podajemy. »W Mostach jednemu z gospodarzy zagubiła się krowa. Wszelkie poszukiwania były bezowocne, przypuszczano ogólnie, że została skradzioną i dorżniętą, a nawet już domniemany sprawca miał stawać przed sądem. Tymczasem rzecz się wkrótce wyjaśniła. Krowa ta, jak to bywa po małych miasteczkach, chodziła samopas po rynku; w takiej wędrówce po domach dostała się do sieni jednego z domów, który był dawniej zajazdem. Na końcu tej obszernej, a w głębi ciemnej sieni od strony tylnej domu znajdowała się otwarta piwnica, w którą krowa wpadła. Otwór założono potem deskami, nie przypuszczając wcale, że tam przebywa krowa zagubiona. Wprawdzie w pierwszych dniach słyszano od czasu do czasu ryk, ale sądzono, że pochodzi on z sąsiednich obór. Gdy wreszcie po 19 dniach od zagubienia się krowy udano się do tej piwnicy, aby ją przysposobić do złożenia lodu, spostrzeżono tamże krowę zaledwie na nogach się trzymającą, i innym otworem ją wydobyto. Krowa ta chwiejącym krokiem poszła do swej dawnej obory i w niej się na słomie położyła. Za radą jednego z ojców miasta, wlano krowie 2 flaszki wina, zgotowano dla niej trochę owsa z barszczem i krowa wkrótce do siebie przyszła. Krowa ta więc przez 19 dni pozostawała bez pokarmu i napoju. Obecnie krowa ta jest wprawdzie jeszcze chudą, ale przy zupełnem zdrowiu.

* **Obyczaje mrówek.** Wszystkie mrówki jednego gniazda, a są mrowiska liczące do pół miliona zwierzątek, rozpoznają się wzajemnie. Jeżeli uwięzimy przez kilka miesięcy robotnice a następnie wpuścimy je do gniazda w towarzystwie kilku mrówek obcych, to rój przyjmie robotnice jak dobre znajome, a z obcemi obejdzie się ze zwykłem sobie okrucieństwem. Tego samego dobrego przyjęcia doznają wyjęte poczwarki za powrotem ich do roju w stanie dojrzałym. Obce poczwarki otoczone są do czasu opieką; po wykluciu się ulegają prawu banicyi. Wódka działa na mrówkę jak na człowieka: wprawi ją w szał i zuchwalstwo. Mrówki wprowadzone w tym stanie do roju, unoszone zostają natychmiast do celek osobnych, gdzie pozostają aż do wytrzeźwienia.

* **Czy cukierki są przysmakiem zdrowym?** Pierwsze ślady historyczne o cukierkach znajdumy w wieku XIII; ale od tego czasu kunszt cukierniczy zrobił takie postępy, że nie cofa się przed niczem, byle tylko kusić wzrok i łakomstwo kobiet i dzieci.

Rzeczy doszły do tego stopnia, że policya musiała uregulować wyrób cukierków i stanąć w obronie żołądka publiczności, przeciw zuchwałym zamachom artysty-cukiernika.

Ile otruć cukierkami nastąpiło w przeciągu pół wieku, obliczyć trudno. Dość powiedzieć, że przed wydaniem wspomnianych przepisów policyjnych, cukiernicy

do farbowania cukierków na zielono używali arsenianu miedzi, na żółto chromianu ołowiu, na czerwono siarczanu rtęci, na niebiesko-węglanu miedzi itd. Dzisiaj w tym celu wolno używać wyłącznie farb roślinnych: koszenilli, karminu, laki, szafranu, kurkumy, indyga i t. p. Mimo tych rozumnych przepisów i baczności władz, przekraczają je niekiedy niesumienni cukiernicy; do dziś dnia często dla przyozdobienia swoich wyrobów lub pofarbowania papierów używanych do owijania, posługują się substancyami szkodliwemi, na których tylko chemik poznać się może.

Miejmy odwagę powiedzieć, że hygiena w ogólności winna potępić używanie cukierków nawet dobrze przyrządzonych, wszak każdy wie o tem, że one w ustach pozostawiają obrzask, pewne niemiłe pieczenie, pobudzają pragnienie i psują żołądek. Szczególniej szkodliwemi są dla dzieci, odbierając im apetyt do pokarmów prostych i dla nich zdrowych.

Wszystkie cukierki w ogólności są niestrawne; trzeba je jeść z wielkiem umiarkowaniem. Toż samo rozumie się o cukierkach nadziewanych, będących najnowszym produktem sztuki cukierniczej, która pod jedną powłoką cukrową zdołała połączyć rozliczne ekstrakty owocowe lub likwory najrozmaitszego smaku. Jednem słowem, cukierki jedzone nadmiernie, a nawet w miarę, są szkodliwe, a w najlepszym razie zupełnie bezużyteczne w procesie odżywiania.

* **Dni powszednich**, w których się pracuje, w Rosyi jest 267, w Szkocyi 275, w Kanadzie angielskiej 278 i tyleż w Anglii, w Portugalii 283, w Hiszpanii 290, we Włoszech 298, w Bawaryi i w mniejszych państewkach niemieckich 300, w Saksonii 302, w Szwecyi 304, w Prusach 305, w Holandyi i w Stanach Zjednoczonych 308, we Węgrzech 312, w Cislitawii 295.

* **Jak się odlewają dzwony?** Niepodobna oznaczyć bliżej czasu wynalezienia dzwonów; zdaje się jednak, że powstały z chwilą w której zauważono dźwięczność naczyń metalowych, a zwłaszcza spiżu i bronzu.

Według Biblii, hebrajczycy przejęli sztukę lania dzwonów od egipcyan, bo znali je już podczas pobytu na pustyni. Grecy i rzymianie znali dzwony.

Podczas prześladowań chrześcianie nie śmiejąc używać dzwonów, uprzedzali wiernych w ich domach o miejscu zebrania na modlitwę.

Nim w Grecyi zaprowadzono dzwony, używano powszechnie deseczek drewnianych, któremi dotąd posługują się chrześcianie greccy.

Prócz tego używano w tym celu blach metalowych, w które bito pałeczką lub młotkiem, lub narzędzi podobnych zupełnie do rzegotek używanych dziś podczas Wielkiego tygodnia.

Nie wiadomo napewno, kiedy zaprowadzono dzwony w kościele zachodnim. Najprawdopodobniej nastąpiło to w 5-tym wieku naszej ery.

Dopiero w 8-ym wieku zaczęto lać większe dzwony. Z tej też epoki pochodzi dzwonienie.

Dawniej dzwony lano na miejscu, a robotnicy ustawiali piece na cmentarzach lub w blizkości kościoła lub katedry. Postępowanie to usprawiedliwiało trudność przewozu; nie znano wówczas ani dobrych dróg, ani kanałów, ani kolei żelaznych. Giserzy opuszczali domy w Popielec a wracali na Wszystkich Świętych, chodzili od katedry do katedry, od opactwa do opactwa. Podczas schnięcia form, zajmowali się polowaniem lub rybołóstwem. Narzędzia ich były bardzo nieliczne: kompas, mały kindżał, kilka matryc do ozdób i napisów — oto wszystko. Po śmierci ojca, syn używał tych samych narzędzi. Przed dolaniem metalu do formy, dzwon otrzymywał pierwsze błogosławieństwo, następnie drugie w chwili zawieszenia w dzwonnicy. Myto go wodą, robiono na nim znaki i nadawano mu imię. Ceremonia ta nazywa się »chrztem dzwonu«.

Nauka lania dzwonów była dawniej owocem doświadczeń ich twórców, i przez długi czas sekretem rodzin. Ojciec przekazywał dzieciom tajemnicę. Dopiero w 14-tym i 17-tym wieku zaczęto sztukę tę traktować umiejętnie i stósować do dzwonów teoryę muzykalną. Pod tym względem wsławił się Piotr Emony z Amsterdamu. Zauważył on, że dzwon uderzany w różne miejsca wydaje dźwięki odmienne. Po wielu próbach udało mu się nadać dzwonowi akord zasadniczy, który jako najsilniejszy, pochłania wszystkie inne i znajduje się w pasie uderzenia. Następnie znalazł tercyą, kwartę, kwintę w bokach i częściach wyższych dzwonu.

Zauważył nadto, że każdy dźwięk zależy od szerokości obwodu, gęstości metalu i połączenia różnych części, tak samo jak w strunie ton jest wynikiem długości jej, siły i natężenia. Każdą więc część harmonijną dzwonu można jaknajdokładniej oznaczyć.

To doprowadziło go do urządzenia zupełnej muzyki dzwonów, która odtąd weszła w modę i rozpowszechniła się po całej Europie. Do dzisiejszego dnia podróżnicy w Niderlandach zachwycają się przepiękną harmonią dzwonów, będących dziełem Emoniego.

Dobry dzwon nie jest dziełem przypadku, ale owocem uczonych kombinacyj, tak samo jak skrzypce Stradivariusa, albo organ Dom Badosa.

Doskonały dzwon ulany być winien z aliażu miedzi czerwonej i cyny, w stósunku 75 do 80 części miedzi, na 25 do 30 części cyny.

* **Zmyślność sarny.** Na jaką odwagę i zmyślność zdobywają się nawet tchórzliwe zwierzęta, gdy idzie o życie młodego potomstwa, dowodzą tego sarny. Płochliwe to zwierzę staje się wówczas bohaterskiem i przebieglejszem od lisa. Kiedy rozbójnik ten za bardzo się zbliży do koziołka, sarna rzuca się nań odważnie i rani tak dotkliwie przedniemi nogami, że lis rad nie rad rejteruje. Jeżeli lis nie dostrzegł jeszcze koziołka, matka uderza go lekko przednią nogą, poczem koziołek przykuca w tra-

wie i leży cichutko. Matka zaczyna teraz wywodzić lisa w pole: udaje, że chroma, i z trudem wlec się może; lis łykając już ślinkę na pewną zdobycz, postępuje za nią. Kiedy już odprowadziła go daleko od miejsca gdzie ukryła koziołka, zaprzestaje komedyi, i umykając rączo, dostaje się manowcami do skulonej w trawie sarenki. Ogląda ją starannie, w obawie, czy się jej co złego nie stało. Podobnie zachowują się dzikie kaczki, kuropatwy i inne ptaki gnieżdżące się na ziemi, gdy obawiają się napaści psów lub zwierząt drapieżnych na bezbronne jeszcze pisklęta. Trzepocą się jakby okaleczone na ziemi lub wodzie, i fortelem tym odwracają uwagę prześladowcy od potomstwa. Jeżeli niebezpieczeństwo b a r d z o groźne, z narażeniem życia rzucają się odważnie na wiele silniejszego nieprzyjaciela.

* **Wpływ śpiewu na piersi** Faktem jest stwierdzonym przez lekarzy, że u osób śpiewających obieg krwi w piersi i zdolności płuc większe są, niż u nieśpiewających. Godnem uwagi jest i to, że śpiewacy nadzwyczaj rzadko umierają na suchoty. Z tego względu śpiew i naukę jego polecić można jako znakomity środek na rozwinięcie i wzmocnienie piersi.

* **Pokrzywa jako materyał tkacki.** Doktor Berghaus zwrócił uwagę na korzyści, jakie osiągnąć się dadzą z włókien pokrzywy przy wyrobie tkanin. Że zwykła pokrzywa koląca miała dawniej szerokie zastósowanie w przemyśle niemieckim, dowodzi fakt, iż dawna nazwa niemiecka muślinu znaczy dosłownie »przędzę z pokrzywy« (Nesseltuch). Po sprowadzeniu z Ameryki bawełny, zapomniano zupełnie o pokrzywie i dopiero w nowszych czasach przypomniano ją sobie. Początek do tego dała pewna dama przedsiębiorcza, która zasadziła pokrzywami część jałowych i kamienistych gruntów w swej posiadłości. Usiłowania jej uwieńczone zostały jak najlepszym skutkiem. W czasie wystawy rolniczej w r. 1877, ujrzano ze zdumieniem włókna pokrzywy, przygotowane do wyrobu rozmaitych tkanin. Powodzenie to zachęciło wiele osób i dało początek uprawie pokrzyw nie tylko w Niemczech ale i w Szwajcaryi, Belgii, Węgrzech, Szwecyi, Austryi a nawet w Ameryce. Pierwsze próby nie wypadły nader pomyślnie, ale po kilkakrotnych usiłowaniach zdołano otrzymać włókna niepozostawiające nic do życzenia. Lepsze jeszcze rezultaty osiągnąć można używając zamiast pokrzywy zwykłej, pokrzywy chińskiej, dającej włókno lśniące i mocniejsze. Włókna te nazywają zwykle t r a w ą c h i ń s k ą.

* **Potęga wzroku ludzkiego.** Wpływ wzroku ludzkiego objawia się najwidoczniej przy poskramianiu dzikich zwierząt. Do jakiego stopnia przewaga oka dojść może, dowodzi przykład pogromcy zwierząt Henry Martina. Nie uciekając się do żadnych środków przestraszających, do bata i innych pogróżek, Martin poskramia zwierzę iście przedziwną zoologiczną pedagogiką. Kiedy pierwszy raz wstępuje do klatki, zwraca uwagę zwierza na stronę, którą wejść zamierzał. Zwierzę się nie porusza. Po dwóch tygodniach wchodzi powtórnie i bawi w klatce pół godziny, za trzecim razem trzy kwadranse a za czwartym zwierzę drżące u nóg mu się kładzie. Najtrudniej idzie z hyeną. Opasany na ramionach i nogach powrozami, z głową owiązaną płótnem, wchodzi do klatki i podaje jej rękę. W chwili kiedy hyena go kąsa, pomimo bólu i tryskającej krwi, pogromca ani drgnie i patrzy jej ostro w oczy. Następnego dnia podaje jej udo, hyena zapuszcza zęby w powrozy, ale czarne oko pogromcy nie schodzi z hyeny i coraz głębiej zatapia się w siwe jej ślepie. Zwierz zmordowany tym wzrokiem, czołga się i obwąchuje nogi pogromcy.

ŻARTY.

Przyjaciel oddając dług przyjacielowi.

— Oto bagatelka, jaką ci byłem dłużny.

— Ach, zapomniałem o tem zupełnie.

— Szkoda, żeś mi tego prędzej nie powiedział.

Kto mocniejszy, czy djabeł, czy proch?

Wiadomo, że prochu pierwej wcale nie znano, a kiedy takowy wynaleźli i przekonali się jaki on silny i zaczęli nim rozsadzać w górach skały, a w kopalniach węgle, djabeł się temu bardzo dziwił, gdy się o tem dowiedział, przyszedł ku górnikowi do kopalni i chcąc się o tem przekonać, czy to prawda, rzekł do górnika: „A macie wy też to, co to ma być, jak słyszałem, takie mocne?“ „Mam“, mówi górnik. I djabeł do niego, żeby mu też zechciał pokazać, jak to wygląda.... A gdy mu to górnik pokazał i to djabeł zobaczył, powiedział: „Adyć to tylko taki proch, to niepodobna, aby to miało być takie mocne, jak to ludzie chwalą. A niezłoby się to jako z tem spróbować kto mocniejszy, czy to, czy ja.“ „Czemu nie,“ mówi górnik, „ja wybiję dziurę, nasypię prochu i zapalę, a ty się w tem miejscu oprzesz i będziesz trzymał mocno. Jeżeli utrzymasz, toś mocniejszy, a jeżeli nie, toś słabszy. I górnik zapalił, kryjąc się trochę na bok. A tu jak nie błyśnie i huknie, to aż djabeł odleciał i o mało co go kawały węgla nie przysypały. Górnik przychodzi i śmieje się z djabła, a ten na: „Wiecie wy co, to nie jest takie mocne, ale prędkie.

— Jakże twoja narzeczona, piękna? — pyta przyjaciel narzeczonego.

— Ach! gdybyś ją widział; oczy istne brylanty, włos złoto najczystsze, usta koralowe, a zęby perły.

— Jeżeli tak, to posag w gotówce wcale niepotrzebny.

Do przyjaciola cierpiącego na podagrę, wchodzi znajomy i zapytuje o zdrowie.

— A niech je tam! — odpowiada chory, — jedna i druga noga dokucza, to tylko jedno mnie pociesza, że mógłbym dwa razy więcej cierpieć... gdybym był czworonożnym!

Rozwiązanie zagadek
z Nr. 1 „Światła“:

Rozwiązanie zadania alchemicznego:

P O Ł Ó W
O Ł Ó W
Ł Ó W
Ó W
W

Rozwiązanie Łamigłówki arytmetycznej:

10		17		16
	9	2	3	
11	8	1	4	15
	7	6	5	
12		13		14

Przygoda z świeżo pomalowaną ławką.



Rozwiązanie szarady:
Rozalija.

Wszystkie trzy zadania rozwiązali: J. Kosmol z Wieszowy, Ks. R. Lorenz z Lubinia, St. Chłądzyński z Bytomia, J. Sedlaczek z Grzędzina, J. Kuchta z Błażejowic, P. Reck z Chróścic, F. Wilczek z M. Dobrzynia, J. Szusterkiewicz z Ponieca, F. Barański z Jerzyc, P. Praszma z Mechnic, P. Stankewitz z Załęża, M. Klockiewicz z Lipnicy, F. Podeschwik ze Szombierk, J. Łakota z Borków, K. Nowicki z Jarocina, Marya Knop z Dzieszowic, T. Barski z Kunigundyhuty, P. Świeczkowski z Więcków, A. Kopczyński z Niedoli, K. Langer z Donnersmarckhuty, K. Kaminiarz z Grotnik, A. Przybyszowska z Kowalewa, M. Stanienda ze Szombierk, J. Niesłoń z Nowejwsi, F. Drzewiecki z Wągrówca, J. Marzetz z Burowca, J. Muszkiet z Królewskiej Huty, Konrad z Niezwisk, L. Czerwiński ze Świątnik górnych, J. Littwiński z Brzuszc, A. Lubecki z Białej, P. Malik ze Siemianowic, P. Zuppa z Zaborskiej Poremby, W. Piełot z Wandakolonii, P. Kaudonek z Chropaczowa, A. Mielcarek z Chełmiec, K. Szczepanek z Dziedzic, J. Jagoszewski z Wojniłowa, A. Świerczyński z M. Dąbrówki, A. Besler z Loriwalcowni, S. Hoffmann z Kwilcza, F. Simonides z Nowegodworu, J. Rządkowski z Przechowa, J. Imiela w Roszowskim Lesie, W. Pełka z Dołków, W. Si[illegible] M. Szymańsk[illegible] [illegible]bowski z Mosiny, W. Szczygieł z Raciborskiej Kuźni, F. Cofała z Kuźnicy, T. Materne z Ciasna, A. Gross z Łabęd, J. Pozimski ze St. Tarnowic, J. Werner z Lipin, J. Badura z Roździenia, J. Ostrowski z W Komorska, N. Kucharski z Kobylice, Amand Morys z Rzeczycy, E Nikel z Bytomia, J. i T. Kiera ze Srokowca, J. Kmieciak z Trzemeszna, E. Strzelczyk z Karbu, A. Kurc z Szypłowa, M. Łaszewska z Pogódek, A. Ocelok z N. Hajduk, J. Lazar z Brzesc, W. Kiełpiński z Poznania, F. Drozdowski z Kruświcy, J. Mudlaff z Szynwałdu, A. Piontek z Roździenia, W. Nowiński z Szczuki, F. Domiński z Langendreer, T. Baranowski z Berlina, A. Machnik z Siemianowic, M. Skowrońska z Chełmży, F. Wozipiwo z Załęża, K. Długajczyk z Szopienic, A. Franik z Zaborza, F. Kempski z Chełmiec, A. Żmidziński z Miechorzewa, J. Lesiński z Siemonia, L. Broda z M. Dąbrówki, Anna Zimniewicz z Z[illegible]mska, J. Hansel z Godullahuty, F. Wilk z Racicorskiej Kuźni, C. Kozłowski z Strzelna, F. Strzeleczek z Bytomia, Ks. Rakowski z Buku, F. Makieła z Wirku, K. Piechaczek z Godowa, F. Lukassek z Wilhelminenhuty, P. Gajda z Łagiewnik, Em. Dittmann z Karbu, A. Gojowczyk z N. Budkowic, S. Piechocki z Trzemeszna, J. Majowski z Bogucic, A. Mizgalski z Ostrowa, P. Śmiłowski z Laurahuty, A. Schweda z Deszowic, J. Pająk z [illegible] J. Janyschik z Królewskiej [illegible] Wałdowa, W. [illegible] ze [illegible] W. Szymma z Król. Nowejwsi, A. Molicka z Dubina, P. Kociński z Świecy, M. Cichowski z Sumina, F. Brachaczek z Bielszowic, M. Bobrzyński z Krakowa, J. Tatkowski z Łąki, K Jarosch z Brzezec, J. Labudda z Kartuz, Sikorski z Leśna, M. Fijałkowska z Pelplina, Salomea Quella z Pułkowic, P. Garus z Kryr, J. Płonka z W. Dąbrówki, F. Skrzypczyk z Rozmierzy, J. Mrozek z Zabrzega, A. Jendrzejowski z Rudy, F. Nierzwicki z Więcków, J. Bromboszcz z N. Hajduk, Mar. Durmowicz z Mokrego, S. Markowiak z Przysieki Niem., L. Noak z Przylepki, S. Szypczyński z Godaw, B. Alejska z Żabikowa, J. Szymańska z Pleszewa, F. Twardowski z Wojciechowa.

Rozwiązanie szarady i zadania alchemicznego nadesłali: H. S. z Poznania, C. Szymański z Nekli, P. Kafka z Wilhelminyhuty, S. Busza z Osieczny, F. Bilski z Zwoli, E. Orłowska z Strzelna.

Rozwiązanie szarady i łamigłówki arytmetycznej nadesłali: E. Wochnik z Bytomia.

Szaradę odgadli: S. Fojut z Dreidorf, Konstancya Burkert z Pszczółczyna.

Zadanie alchemiczne odgadli: S. Pieniężny z Olsztyna, J. Klemczak z Niem. Wilkowa, J. Pierdzioch z Kaliszan, W. i K. Ziółkowscy z Łężyna.

Łamigłówkę arytmetyczną odgadł: P. Rybajczyk z Uckendorf, J. Widuch z Przyszowic, St. Woś z Guttehoffnung, A. Kopietz z Zabrza, P. Śmieszek z Świętochłowic.

Zadania alchemiczne i arytmetycz[illegible] odgadli: J. Deleszyński z Pławinka, [illegible]ek z Katowic, A. Woziwodzki [illegible]ny, P. Grochowski z Koło[illegible] [illegible]żałek z Koszęcina.

[illegible]ło przeznaczonych 20, [illegible] na powiększenie się [illegible] i wielkiej liczby [illegible]obrze odgadli, [illegible]grody do- [illegible] Świecz- [illegible]ze Sie- [illegible]